Rok 1901. Lwów, 15. Września Nr. 36.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów : Cicha 5.

 Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników. 

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ — Lwów.

Rok 1901. Lwów, 15. Września Nr. 36.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI
ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY
(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron: rocznie 16—	półrocznie 8—	kwartalnie 4—	miesięcznie 1·40
Rzeszy niemieckiej	marek „ 16—	„ 8—	„ 4—	„ 2—
innych krajach europ.	franków „ 20—	„ 10—	„ 5—	„ 2—
Ameryce północnej	dolarów „ 4—	„ 2—	„ 1—	„ 1—
Ameryce południow.	franków „ 25—	„ 13—	„ 7—	„ 3—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO" Lwów, Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.



Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE" po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 2 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego" po 2 korony od 100 egzempl.

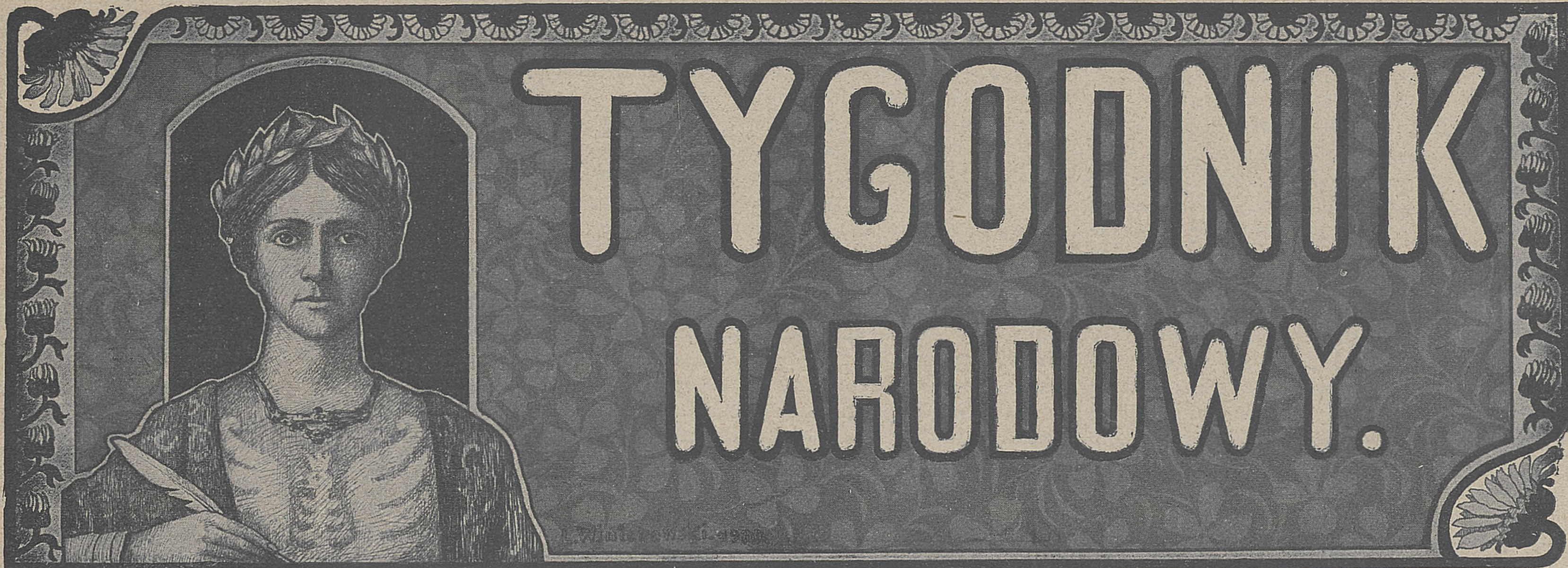
Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego" we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego" — Lwów.

Rok 1901. Lwów, 15. września. Nr 36.



Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11, Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 36:

Przegląd polityczny.

Minister dr Koerber skupił wszystkie usiłowania na doprowadzenie do skutku kompromisu wyborczego między szlachtą czesko-konserwatywną a szlachtą niemiecko-liberalną w Czechach. Jeśli mu się uda, to dokonanym będzie wielki krok naprzód w kierunku czesko-niemieckiej ugody. Krok to jednak zarazem niebezpieczny, bo młodoczesi — na razie przynajmniej — występują bardzo groźnie i w pojednaniu szlachty ponad głowami mieszczaństwa widzieć chcą *casus belli*. Istotnie rzecz tak się przedstawia, jeśli prawdą jest, że kompromis dojść ma do skutku nie z dobrej woli całego konserwatywnego stronnictwa, tylko w ten sposób, że odłam tego stronnictwa z woli p. Koerbera głosować będzie wraz z szlachtą liberalną na kompromisowych kandydatów. Takim był z początku przynajmniej plan rządu; dziś, jak słychać, pod groźbą opozycyi czeskiej rząd podejmuje jeszcze jedną próbę pozyskania dla kompromisu całego stronnictwa czesko-konserwatywnego.

Między austryackimi wszechniemcami a niemieckiem stronnictwem ludowem zerwały się wszelkie nici. Berneński *Deutsches Blatt* organ wszechniemców, podaje to do wiadomości w słowach: Nie wszystko, co mówią Wolf i Schönerer, jest złotem. Ale to możemy posłowi Kaiserowi powiedzieć, że po jego wycieczkach kruchy już zresztą węzeł, który możeby nas jeszcze raz z ludowcami zjednoczył w Izbie pod jedną flagą, pękł raz na zawsze. Nie pozwolimy lżyć naszych przywódzców nawet wtenczas, choćby błądzili!

Car Mikołaj II. zjechał się z cesarzem Wilhelmem II. pod Gdańskiem. Według dość głośnych wieści nihiliści czy anarchiści urządzili na cara dnia 30 sierpnia zamach, i to na kolei petersbursko-warszawskiej, między stacyami Iwanówką i Reżycą, w odległości 411 wiorst od Petersburga. Car jechał właśnie z Petersburga do Danii. Faktem jest, że między Iwanówką a Reżycą pociąg carski wypadł dnia 30 sierpnia z szyn. O tem telegramy donosiły zaraz, lecz wiadomość przeszła niespostrzeżenie: wypadek uważano za jeden z tych, które na kolejach wydarzają się tak często. Dzisiaj jednak pisma zagraniczne twierdzą, że katastofa była zagadkową. Na miejsce wypadku zjechała z Petersburga komisya i krążą różne wersye, że raport jej podobny jest do sprawozdania takiejże komisyi z 1888 r., która zbadała przyczyny wykolejenia dworskiego pociągu pod Borkami.

Według *Daily Mail* ukaże się w październiku r. b. encyklika papiezka przeciw anarchizmowi. Leon XIII. zajęty jest obecnie jej ułożeniem i zamierza wezwać wszystkie rządy chrześciańskie do wspólnej akcyi celem wytępienia anarchizmu. W Watykanie spodziewają się, że tym razem głos Stolicy Apostolskiej nie przebrzmi bez echa, ponieważ zbrodnia w Buflalo dostatecznie mogła zwierzchność świecką przekonać, że lekceważąc moralną siłę Kościoła, groźnej burzy, którą poprzedzają i zwiastują tak przerażające wybuchy, jak mordy królów i prezydentów, nie zdoła stawić czoła. W walce z bezbożnemi prądami rządy powinny się skupić pod sztandarem skały Piotrowej. Wiadomość ta jest może prawdziwa, lecz wymaga potwierdzenia; inne źródła nie podały jej dotychczas.

Paryski *Rappel* dowiaduje się, jak twierdzi, z wiarogodnego źródła wprost z Rzymu, że rządy Niemiec, Austryi, Hiszpanii, Portugalii, Holandyi i Belgii zwróciły się do papieża z prośbą, aby złożył z urzędu ministra spraw zagranicznych kard. Rampollę. Tylko trzech lub czterech członków św. Kollegium popiera Rampollę, zresztą wszyscy inni kardynałowie nalegają na papieża, aby żądania pomienionych rządów uwzględnił. Stanowisko Rampolli jest przeto mocno zachwiane i zapewne już w dniach najbliższych da mu papież dymisyą. — Przypominamy atoli, że wieści o upadku Rampolli nie są nowe, a zawsze okazały się fałszem: przeto i paryski *Rappel* nie może mieć pretensyi, aby mu ślepo wierzono.

Dr. Jan Stella-Sawicki.

Jak należy bronić Ojczyzny.

SARAGOSSA.

(Ciąg dalszy).



Gdy już trzy wyłomy były zrobione, z uderzeniem dwunastej marszałek Lannes dał znak do ataku. Woltyżerowie polscy z dywizyi Musajera mieli atakować wyłom klasztoru S. Engracyi. Po wyjściu z rowów potrzeba było przebyć więcej jak sto sążni po zupełnie otwartej miejscowości pod

strasznym ogniem Hiszpanów. W mgnieniu oka przebyto tę przestrzeń i rzucono się z bagnetami w ręku na Hiszpanów. Atak trwał krótko ale był straszny; Hiszpani zostali złamani, a klasztor i kilka otaczających domów, dostały się w ręce wrogów. Nie tracąc czasu rzucili się Polacy i postępujący za nimi Francuzi na plac Engracyi, mająca nadzieję owładnąć placem i ulicą tegoż imienia, która wychodziła na Cosso. Hiszpanie zapalili kilka min, lecz znowu za późno, miny wyrzuciły ziemię i kamienie, ale nie zabiły żadnego człowieka Jednak dobiegłszy do ulicy, atakujący zostali spotkani takim ogniem, takim gradem kul i kartaczy z barykad najeżonych artyleryą, że zmuszeni byli cofnąć się, zaścielając plac zabitymi i rannymi.

Od klasztoru St. Engracia ciągnął się mur, łączący klasztor ten z klasztorem Kapucynek. Baterya artyleryi znajdująca się w tym ostatnim, zasypywała kartaczami dywizyę Morlota, którą zbliżono do dywizyi Musniera, aby poprzeć jej atak. Rozgniewani stratami, które ponieśli stojąc na miejscu, kilkunastu karabinierów rzuciło się na bateryę, za nimi poszedł pułk cały, zbiegł z początku do rowu, a następnie przez Ambrazury wdarł się do środka i zabrał osiem armat. Hiszpanie zrozpaczeni stratą, rzucili się dla odbicia swej artyleryi, lecz zostali odparci. Dalej jednak iść nie było można, bo z dachów domów, z okien, z piwnic i z za barykad rażono tak gęsto, że krok taki byłby szaleństwem. Pozostali więc na miejscu.

Na prawem skrzydle walka też wrzała okropna. Na prawy wyłom szli woltyżerowie polscy pod dowództwem szefa batalionu Stala, na lewy wyłom posłano grenadjerów francuskich. Hiszpanie podłożyli minę pod miejsce, przez które mieli przebiegać atakujący, ale widać już było napisano w księgach przeznaczenia, że żadna mina hiszpańska nie zapali się w swoim czasie, bo ogromna masa ziemi wyleciała w powietrze ze strasznym hukiem wtedy, gdy kolumna atakująca już wdzierała się na wyłom. Oba wyłomy zostały wzięte, ale na tem i ograniczyła się pomyślność francuskiego oręża, bo chociaż udało się zająć kilka sąsiednich domów, leżących po obu stronach ulicy Quemada, posunięcie się naprzód było niemożliwem, bo zaledwo którykolwiek z żołnierzy wysunął się przez drzwi lub w oknie, ogień z ręcznej broni przez tysiące otworów kładły go trupem.

W tym krwawym dniu jednak Francuzi owładnęli całą zewnętrzną obronną linią Saragossy. Przy zwykłem oblężeniu, według praw wojskowych, miasto powinno było poddać się, lecz w Saragossie teraz to właśnie zaczęła się najstraszniejsza walka, bo potrzeba było brać za pomocą min lub wyłomów każdą grupę domów, a naprzód posuwać się tylko za pomocą rowów przykrytych z boku i z góry, bo ze wszystkich stron śmierć groziła. Hiszpanie w tym dniu stracili około 600 ludzi w zabitych i rannych, a 200 wziętych w niewolę i 20 armat; u Francuzów też straty wynosiły około 800 ludzi.

Wobec tak wielkich strat, marszałek Lannes zabronił żołnierzom występować otwarcie, nakazał zaś posuwać się naprzód z największą ostrożnością, za pomocą przykrytych rowów i wysadzając w powietrze broniące się domy. Nie mając już potrzeby artyleryi oblężniczej, większą część dział marszałek przesłał jenerałowi Gezan, nakazując mu przyspieszenie oblężenia i wzięcia przedmieścia na lewym brzegu Ebro leżącego, a ponieważ w ciasnych ulicach i zajętych domach mogła pomieścić się tylko mała liczba żołnierzy, odesłał dywizyę Morlota ponownie na lewe skrzydło dla obserwowania i niepokojenia nieprzyjaciela z tej strony, a dywizyom Grandjezona i Muswicza, mającym razem 9 tysięcy, poruczono prowadzenie wojny podkopowej i atakowanie domu za domem, kryjąc się tak samo jak to robili Hiszpanie, aby nie stracić wszystkich żołnierzy w tej strasznej i zawziętej walce.

Jak powiedzieliśmy wyżej, każdy dom od dachu do piwnicy był obsadzony obrońcami, dokładnie znającymi miejscowość. Każdy dom był cytadelą, której mężczyźni bronili rozpaczliwie, zajadle i długo; kobiety pomagały im przynosząc jeść przynosząc proch i kule i lejąc na atakujących wrzącą wodę i smołę, lub strzelając do wrogów jak ich ojcowie, mężowie, bracia i kochankowie. Dla tego zaś, żeby nieprzyjaciel nie mógł posunąć się naprzód ulicą, co kilkadziesiąt kroków wznosiła się barykada uzbrojona artyleryą, dowodzona przez ludzi zdeterminowanych i znających się na obsłudze dział.

Pomimo iż linia zewnętrzna miasta wpadła w ręce Francuzów, Hiszpanie nie chcieli walczyć tylko obronnie. Oddziały ochotników z krzyżem na czele kilka razy rzucały się na klasztor Kapucynek i na wyłomy zajęte na prawem skrzydle przez Francuzów, lecz ci ostatni i Polacy szli zaraz na bagnety i odpędzali atakujących z wielkiemi stratami.

Z placu S. Engracyi idzie szeroka ulica, prowadząca do Cosso. Ogromne budynki okalały ją z obu stron; na prawo znajdował się klasztor dziewic Jerozolimskich i obok szpital obłąkanych, a z lewej klasztor S. Franciszka. Tylko po wzięciu tych budynków można było wyjść na Cosso i owładnąć tą główną i najszerszą drogą wewnętrzną.

Z domów więc, które zajęto po obu stronach ulicy, zaczęto posuwać się naprzód powoli, przechodząc z domu do domu i wypędzając stamtąd obrońców. Często jedno piętro było w rękach Francuzów, wtedy gdy na innych piętrach i w piwnicach trzymali się jeszcze obrońcy; strzelano wież z dołu do góry przez sufity, przeskakiwano z dachu na dach, rażąc nieprzyjaciela, lub bito się w pojedynkę z zawziętością, męstwem i z wściekłością niesłychaną. W takich razach Francuzi rzucali bomby do środka domów, lub zapalali worki z prochem, aby wysadzić w powietrze dachy, razem z tymi, którzy tam zasiedli, lub używali podkopów i całe domy wysadzali w powietrze.

Lecz właśnie wtedy, gdy zniszczenie było największe, mężny dowódca obrony jenerał Palafox leżał na łożu śmiertelnem, dotknięty zarazą. Pomimo to obrona nie słabła, bo energiczni pomocnicy jego nie myśleli o poddaniu się i kazali wieszać tych, którzy wątpili w zwycięstwo. Żołnierze padali ze znużenia, z osłabienia od tylu niedospanych nocy, od tylu wzruszeń moralnych i nieustannej pracy. Mieszkańcy jak cienie przesuwali się po ruinach i zgliszczach swego nieszczęśliwego miasta.

Lecz i żołnierze Napoleona cierpieli bardzo wiele. Po czterdziestu kilku dniach walki nieustannej i bezlitośnej we dnie i w nocy, po wysiłkach nadludzkich zaledwie kilka ulic mieli w swem ręku. Każdy mimowoli zapytywał siebie, co będzie, gdy przyjdzie walczyć jeszcze tak długo i czy nie zginą wszyscy do ostatniego, nim owładną miastem, bo wzięcie każdej piwnicy, każdego strychu, kosztowało życia kilkunastu ludzi. (C. d. n.)



J. O. HANZEN.

MODEL.

Jan Gallot był przed półwiekiem znanym w całej Belgii włóczęgą. „Nie do pracy, lecz do odpoczynku jestem stworzony“ były jego ulubione słowa. Liczył zaledwie lat trzydzieści, śmiało jednak twierdzić można, że zwiedził trzydzieści więzień, domów poprawy, i inne dobroczynne instytucye, ku poprawie podobnych grzeszników ufundowane. Naprożno jednak starano się obudzić w nim poczucie obowiązku, chęć do pracy, poszanowanie cudzej własności; pojęcia te nie miały dostępu do jego mózgu, nie zdolnym był pojąć donośnego ich znaczenia, dusza jego spała.

Kochał przecież bardzo swobodę i niezależność.

W mroźne zimowe dnie z ochotą przebywał w zamknięciu, rad, że ktoś myśli o jego pożywieniu, że ma dach nad głową i jaką taką odzież.

Zaledwie jednak pierwsze promienie wiosennego słońca zajrzały do jego celi, zaledwie usłyszał słaby świergot ptasząt, twarz jego musnął ciepły wietrzyk, przynosząc mu zapach łąk i pól, budziła się w nim chęć swobody, rwał się na zewnątrz, stawał się genialnym w wymyślaniu sposobów wydostania się z za krat więzienia. Jeżeli udało mu się ujść z pod klucza, radował się światu i swojej wolności.

Był przedmiotem ciągłego podziwu urzędników i policyi, co nie przeszkadzało im tropić go sumiennie za każdą ucieczką, a jemu wysilać umysł na wynajdowanie coraz nowych środków ostrożności.

Podczas ostatniej ucieczki, unikając starannie spotkania z żandarmami, zwrócił się na północ i po długiej, nużącej wędrówce dotarł do Brukseli i ukrył się w pięknem, lesistem ustroniu, zwanem „Park Leopolda“. Siły opuszczały go, dzień cały nie miał nic w ustach, oprócz kawałka chleba z serem, ofiarowanego mu przez litościwą wieśniaczkę; głód, pragnienie, dokuczliwy ból nóg doskwierał mu niemożliwie. Postanowił zaczekać nocy i dowlec się do pewnej szynkowni, gdzie liczył na spotkanie kilku podobnych sobie włóczęgów, którzy by mu wspaniałomyślnie ofiarowali jaki posiłek, sam bowiem nie posiadał ani centa przy duszy.

Nim jednak mógłby spełnić swój zamiar, musiał parę godzin czekać w ukryciu; w tym celu odszukał gęstwinę i postanowił ukryć się w niej i odpocząć. Zaledwie opuścił się na ziemię, uczuł pod sobą jakiś twardy przedmiot, podjął go: było worek, którego zawartość wydawała dźwięk metaliczny.

— No, no, przecież natrafiłem na skarb, hura! jestem zabezpieczony na długi czas.

Otworzył ostrożnie worek, ale nadzieja znalezienia złota zawiodła go; nie-

stety, znalazł tylko składane narzędzie stalowe do rozbijania drzwi, wiązkę wytrychów, pudełko wosku, czy jakiejś innej miękkiej substancyi, ślepą latarkę, pudełeczko zapałek, słowem wszystko, co może być potrzebne rycerzowi nocnych wycieczek.

W pierwszej chwili nie przyszło mu nawet na myśl osobiście zużytkować znalezione przedmioty, pragnął znaleść tylko w mieście kupca, któryby łaskawie zamienił pożyteczne narzędzia na gotówkę.

Okoliczności pono czynią złoczyńców, mówi francuzkie przysłowie; zatem nasz pan Jan, dotąd zwykły żebrak i włóczęga, zamyślił się głęboko nad ofiarowaną mu przez los sposobnością. Zła myśl kiełkuje szybciej od zbóż i kwiatów, a dojrzewa i przynosi owoc w tak krótkim przeciągu czasu, iż naturę w podziw wprowadza.

— Dlaczego nie miałbym spróbować szczęścia, gdy ono samo ku mnie się garnie? Co mam do stracenia, świat do odważnych należy... naprzód więc! Dostanę się do jakiego zamożnego domu, wzbogacę łupem, ucieknę do Ameryki, a tam, ha, ha, alboż to wszyscy bogaci zdobyli pieniądz uczciwie; a jednak, toż szanują ich... w gazetach o nich piszą... miły Boże! byle szczęścia odrobinę.

Zapomniawszy na chwilę o głodzie i bólu, nasz Jan wybrał się w drogę. Ale nie tak łatwo zdobywa się wymarzone cacko; przeciwności jeżyły się na drodze do bogactw i znaczenia.

Tu go pies wystraszył, tam światło w oknie, gdzieś znowu szmer doszedł niepokojący, słowem uciekał, padał, podnosił się, wytężał słuch i wzrok, drżał ze strachu, lub śmiał się z urojonego lęku. Nakoniec dotarł do jakiegoś domu za miastem. Tu wszystko było cicho, ani jeden listek nie poruszył się na otaczających drzewach, księżyc dyskretnie ukrył się za chmurkę, niby nie przeszkadzając i nie pomagając, bo oto jeden promień cienką smugą oświecił szyby i szczyt willi. Jan szybko wdrapał się na drzewo, z pomocą szmaty wygniótł szybę, otworzył okno i skoczył do wnętrza, znalazł się w zupełnej ciemności, potarł zapałkę, zapalił latarkę i rozejrzał się ciekawie.

Dziwne było miejsce, ni to mieszkanie, ni to świątynia jakaś? (Dok. nast.)



Dr. K. HERTZ.

Pogadanka naukowa

Balon Santos-Dumonta

Kwestya kierownictwa balonami, czyli żegluga powietrzna, pomimo ostatnich niepowodzeń hr. Zeppelina i inżyniera Suttera (o których pisaliśmy już w roku przeszłym), nie przestaje zajmować wielu inżynierów i techników. Co więcej, w ostatnich czasach, dał się zauważyć wielki ruch na polu aeronautyki: liczne projekta sypią się jak z rogu obfitości, budują się nowe modele, ulepszają się dawniejsze, jednem słowem, weszliśmy w fazę spotęgowanego ruchu wynalazczego. Wielką sensacyę wywołała podróż nadpowietrzna Santos-Dumonta, który dnia 12 lipca r. b. wzniósł się z parku klubu aeronautycznego w Saint-Cloud, okrążył wieżę Eiffel i wrócił na miejsce wzlotu. Z podziwieniem liczni widzowie przypatrywali się dowolnym ruchom statku nadpowietrznego, nazwanego przez wynalazcę „aeronefem“, który opisawszy najrozmaitsze linie krzywe, według woli aeronauty, spuścił się majestatycznie na ziemię. Cały Paryż był w najwyższym zachwycie, a wraz z nim tryumfowała cała Francya, ojczyzna Montgolfierów i sportu nadpowietrznego. Młody inżynier, Santos-Dumont, był bohaterem dnia; iskra elektryczna ogłosiła całemu światu tryumf Francyi, gdyż jeden z jej synów rozwiązał zadanie dotychczas nierozstrzygnięte.

Musimy tu dodać, że pierwszą swoją podróż Santos-Dumont odbył przy zupełnie spokojnem powietrzu i chociaż niezupełnie dokładnie, uczynił zadość warunkom konkursu, ogłoszonego przez klub aeronautów (spóźnił się o 50 min.), sędziowie przyznali mu nagrodę Deutscha, wynoszącą 100.000 franków. Santos-Dumont przyznanej mu nagrody nie przyjął, spodziewając się, że po drugiej podróży zdobędzie ją „ritissimo“. Druga jednak podróż wypadła niepomyślnie, gdyż na drodze powrotnej podmuch wiatru rzucił balon na drzewo, wśród którego konarów balon zawisł. Trzecia podróż, odbyta dnia 29 lipca, przy niezbyt sprzyjającej pogodzie, wypadła wprawdzie świetnie, gdyż Santos-Dumont zupełnie swobodnie manewrował swoim statkiem pomiędzy Saint-Cloud i Suresne, lecz podczas podróży motor uległ wypadkowi, tak, że potrzeba będzie od dwóch do trzech dni, aby młody aeronauta mógł odbyć nową podróż dla zdobycia nagrody Deutscha de la Meurthe. Tymczasem, w samym klubie aeronautów wynikły niesnaski pomiędzy członkami. Znani zaszczytnie aeronauci, bracia Renard, stanowczo twierdzą, że rezultaty, osiągnięte przez Santos-Dumonta są wynikiem spokojnego stanu powietrza, gdyż sam przyrząd tego żeglarza nadpowietrznego nie ma żadnej wyższości nad innemi. Tego samego zdania są i inni wybitni technicy i specyalisci na polu aeronautyki.

Ponieważ jednak prasa codzienna nie przestaje głosić, że rezultaty, osiągnięte przez młodego wynalazcę, przewyższają wszystkie inne, dotychczas znane, i że wynik ten zawdzięczać należy udoskonalonemu motorowi, który przy najmniejszej możliwej wadze rozwija największą siłę, zatem musimy tę kwestyę rozważyć w świetle nauki.

Już nieraz przytaczaliśmy zdanie wybitnych specyalistów i uczonych, że statki powietrzne w postaci balonów nie mają żadnych widoków, aby za ich pomocą można było odbywać dowolne podróże nadpowietrzne dla celów lokomocyi. Ogół jednak ma jakiś wrodzony wstręt do machin latających bezbalonowych (aeroplanów). Pomimo wywodów uczonych, pomimo doskonałych modeli takich machin, funkcyonujących z największą dokładnością i zbudowanych przez Kressa w Wiedniu, Hoffmanna w Berlinie, prof. Langley'a w Ameryce i wielu innych, ogół nie wierzy w ich praktyczność. Każdy — mniej więcej — rozumuje w sposób następujący: Widzę, że model swobodnie lata, wiem doskonale, że miliony istot żyjących przerzyna powietrze we wszystkich kierunkach, lecz nigdy nie uwierzę, aby przyrząd, ważący setki a nawet tysiące kilogramów, mógł się unosić w powietrzu, będąc gatunkowo od niego cięższym. Rozumie się samo przez się, że ta niewiara w możność zbudowania aeroplanu, nie rozstrzyga kwestyi, wszakże kilkadziesiąt lat temu, niktby nie uwierzył w możność jazdy kolejowej, z szybkością 100 kilometrów na godzinę, — a jednak jazda taka stała się faktem.

Pomimo bardzo upowszechnionego mniemania, że za pomocą balonów można będzie odbywac podróże po oceanie powietrznym, z tą samą łatwością, z jaką odbywamy podróże okrętami i na morzach, mniemanie, które w ciągu przeszłego wieku pociągnęło za sobą ogromne ofiary w ludziach i pieniądzach, możemy prawie z absolutną pewnością twierdzić, że kierownictwo balonami, przy średnio słabym nawet wietrze, jest niemożliwe do urzeczywistnienia, bez względu na siłę użytego motoru.

Wszelkie pomyślne rezultaty, dotychczas osiągnięte w aeronautyce za pomocą balonów, są tylko pozorne, zależne od zbiegu wielu sprzyjających okoliczności. Przy spokojnem powietrzu, przyrząd balonowy, opatrzony motorem i śrubami, daje się z łatwością kierować dowolnie, lecz przy silniejszym nieco wietrze, staje się igraszką wiatru. Dzięki rozwojowi budowy samochodów, posiadamy obecnie motory, które śmiało nazwać możemy cudownemi, gdyż zdaje się, żeśmy już dotarli do ostatecznych granic doskonałości. Tak n. p. ciężar motoru Boucheta, o sile 15 koni parowych, który Santos-Dumont zastosował do swego przyrządu, wynosi 5,7 kilograma na siłę jednego konia. Jest to rezultat, o którym przed dziesięciomą laty nikt nie marzył, a jednak wyniki osiągnięte, nie wykazują żadnego prawie postępu. Korzyści otrzymane przez Santosa-Dumonta za pomocą użytego motoru nie są większe od tych, które otrzymał Giffard ze swoim motorem o sile trzech koni, pomimo że motor pierwszego z nich był szesnaście razy lżejszym od motoru użytego przez Giffarda. Machina parowa Giffarda ważyła 870 kilogramów i jej waga względna, to jest w stosunku do siły jednego konia, była 52 razy większą, niż ciężar machiny, użytej przez Santosa.

Lekkość motoru nie stanowi jeszcze wszystkiego w aeronautyce. Gdyby nawet udało się zredukować ciężar motorów do jednej dziesiątej, przy jednakowej sile, to i wtedy jeszcze prawdopodobieństwo możności zbudowania praktycznego dla lokomocyi dowolnej w powietrzu przyrządu balonowego byłoby bardzo małem. Cóż bowiem pomoże rozwinięcie znacznej siły, gdy tę niepotrzebnie marnujemy bezcelowo, a takie marnotrawstwo sił ma właśnie miejsce, gdy dla poruszania balonu naprzód, użyjemy stosunkowo małych, lecz szybko się obracających śrub. Powiększając jednak średnicę śrub, powiększamy też i ich ciężar. Co więcej, chcąc, aby balon mógł skutecznie stawiać opór stosunkowo słabemu nawet wiatrowi, musimy mu dać powłokę sztywną a czoło statku nadpowietrznego musi być takie, aby ono podczas lotu nie uległo deformacyi, w przeciwnym bowiem razie, opór powietrza niepomiernie wzrośnie. Ponieważ w miarę, jak się powiększa prędkość polotu balonu, ciśnienienie powietrza na jego powierzchnię czołową wzrasta w stosunku kwa-

dratów powierzchni, tak, że przy trzy razy większej powierzchni, opór powietrza jest dziewięć razy większy, zatem ze wzrastaniem prędkości polotu, ściany balonu muszą być sztywniejsze. Ztąd wynika bezpośredni wniosek, że dla powiększenia prędkości polotu balonu, musimy jednocześnie powiększyć i jego ciężar. Tym sposobem tracimy znaczną część korzyści, otrzymanych z użycia silnego motoru. Jest to koło błędne, z którego nie ma wyjścia. Możność zbudowania balonu kierować się dającego; to jest takiego, któryby był w stanie przebiegać 36 kilometrów na godzinę (a taka prędkość jest niezbędna dla celów praktycznych), wtedy tylko będzie dowiedzioną, jeżeli można będzie wykazać, że powiększenie prędkości zbudowanego już balonu, np. Santos-Dumonta lub hr. Zeppelina, da się przeprowadzić tylko przez zmniejszenie ciężaru użytego motoru. Ciekawa historya rozwoju pomysłu Santos-Dumonta wykazuje, że warunkowi temu nie można uczynić zadość.

Nie wdając się w bliższy rozbiór wszystkich zmian, uskutecznionych przez wynalazcę w budowie swego przyrządu w ciągu trzech lat (od roku 1898), musimy powiedzieć, że według zdania kompetentnych specyalistów, statek Santos-Dumonta, pomimo swego rozgłosu, nie stoi na wysokości nowoczesnej aeronautyki i stanowi tylko nowy dowód, że za pomocą balonów nie można rozwiązać trudnej kwestyi żeglugi powietrznej.



Wincenty Ko iakiewicz

„ZAKOCHAŁ SIĘ DJABEŁ W SUCHEJ WIERZBIE."

Z pustem wnętrzem bez łona,
Na głos słońca już głucha,
Nagie wznosi ramiona
Wierzba niska, skłębiona
I sucha.

Nad wód stoi przeźroczą,
Czarne wokół niej krzaki
Wieczne noce ją mroczą,
Suche piersi jej toczą
Robaki.

Skoro północ uderzy
Na wieżycach we dzwony,
Strasząc nocnych pasterzy,
Rozkochany czart bieży
Stęskniony.

Ogniem znaczy ślad drogi,
Słodkie pieśći marzenie,
Nisko kłoni swe rogi
I całuje jej nogi —
Korzenie.

Z pustem wnętrzem bez łona,
Na głos słońca już głucha,
Nagle wznosi ramiona
Wierzba niska, skłębiona
I sucha.

I gdy są już we dwoje,
Czart wzruszony i blady,
Stroi lubą w powoje,
Deklamując jej swoje
Ballady.

On — jej tarcza! obrona!
Dzwoni mężnie pieśń spiewna,
Srogie smoki pokona
On — królewicz, a ona —
Królewna.

Czarne zęby wyszczerza,
Cały drżący z zachwytu,
Cichym szeptem pacierza
Tajemnice jej zwierza
Wszechbytu.

Z pustem wnętrzem bez łona,
Stoi wierzba wciąż sucha,
Nagie wznosi ramiona,
Nizka, czarna, skłębiona
I głucha.

— — — — — — — — —

Kiedy zorza zagości,
Dyabeł traci nadzieję,
W wichrze polnym się złości
Z zawiedzionej miłości
Szaleje.

Furje lecą mu z pyska,
W świecie szały złe budzi,
Pluje w ofiar ogniska,
Zdrady, mordu jad ciska
Na ludzi.

Ciało swoje rwie drżące,
Drogi czarną krwią plami,
Dusić boskie chce gońce,
I zagasić chce słońce
Skrzydłami.

Rzuca skargi w niebiosy,
Łzy mu płyną z pod powiek,
I przeklina swe losy
I na głowie rwie włosy
— Jak człowiek.

Bezistnienie go mami,
Ciągnie, woła zdradziecko —
I twarz kryje skrzydłami,
I cichemi łka łzami
— Jak dziecko.

Z pustem wnętrzem bez łona,
Na głos słońca już głucha,
Nagle wznosi ramiona
Wierzba nizka, skłębiona
I sucha.

Nad wód stoi przezroczą,
Czarne wokół niej krzaki,
Wieczne noce ją mroczą,
Suche piersi jej toczą
Robaki.

Przedm.

Mistrz karykatury.

Tomasz Teodor Heine.

Gdy przed trzema laty obchodzono setną rocznicę urodzin Henryka Heinego, humorystyczne pismo zamieściło pięknie wykonany rysunek, przedstawiający, jak bożek wodny Egir, wypędza ze swego państwa zakochaną rusałkę Loreley, bohaterkę najpopularniejszej pieśni Henryka Heinego Pod rysunkiem były słowa: „Tomasz Teodor kochanemu Henrykowi".

To traktowanie za pana brata wielkiego poety nikogo nie zdziwiło; nie ulega bowiem wątpliwości, iż karykaturzystę T. T. Heinego można nazwać największym satyrykiem, jakiego miały Niemcy od czasów autora „Księgi pieśni". Żaden ze współczesnych Niemców nie wywija tak zamaszyście, zręcznie i nieubłaganie chłostą sarkazmu, jak Tomasz Teodor, który nie omija żadnej sposobności, aby wystawić pod pręgierz i uwiecznić w swych wysoce artystycznych rysunkach współczesne życie społeczne. Jeśli T. T. Heine cieszy się wielkiem powodzeniem w Paryżu, jeśli w niedawno sporządzonej przez redakcyę ankiecie międzynarodowej został obwołany za największego mistrza karykatury i satyry, świadczy to, iż świst jego chłosty słychać nawet po za kordonem Niemiec. Ba! Nawet rząd niemiecki żywi w głębi duszy cześć dla jego talentu, albowiem jest faktem wiadomym, iż nieboszczyk kanclerz Hohenlohe urządził dla swych przyjaciół „herbatki" dla studyowania rzeczy Heinowskich. Ten szacunek dla zjadliwych i tętniących szczerym artyzmem produkcyj nie przeszkodził, co prawda, ministrom niemieckim ulokować ich autora na dziewięć miesięcy w więzieniu za to, że nie potrafił trzymać języka za zębami. Czy słusznie — nie wiem, gdyż w gruncie rzeczy można poczytywać Heinemu za największy grzech cyniczne niedbalstwo, z jakiem popełnia anachronizmy i błędy historyczne.

Heine jakeśmy rzekli, poszedł do więzienia, co mu nastręczyło sposobność do kilku bardzo złośliwych rysunków. Udając się za kraty więzienne, poinformował na pożegnanie publiczność, w jaki sposób będzie tworzył w swej nowej siedzibie. Młodociany, goławąsy Tomasz Teodor stoi w środku pokoju pochylony nad rysowanym przez siebie kotem; ramieniem jego kieruje prokurator, a wokoło śledzą jego ruchy Schutzmannowie sascy z pałaszami w ręku. Gdy opuścił swe więzienie, podzielił się z ogółem wspomnieniami, jakie stamtąd wyniósł.

Tak np. opowiedział jakich metod pedagogicznych używała władza nadzorcza, aby wykierować go na porządnego człowieka. Widzimy tedy na rysunku, jak Heine myje własnoręcznie na rozkaz władzy waterklozet swej celi, podczas gdy dozorca wygłasza mowę o znaczeniu tej procedury. Od czasu więzienia jakoś Schutzmann i sędzia stali się jego ulubionemi figurami, na których ostrzy sobie niemiłosiernie język z całą finezyą swego talentu. Oto dwa przykłady: W cudownym rysunku, wykonanym w stylu *rococo*, oglądamy Schutzmanna, jako pasterza grającego na fujarce, której słodkich dźwięków słuchają rozcięgnięte wokoło owce z niebieskiemi wstążkami na szyjach. W drugim rysunku charakteryzuje on Niemcy współczesne. Jak wiemy, państwo to w ostatnich trzydziestu latach z kraju rolnego przeistoczyło się w przemysłowy. Obraz Heinego przedstawia zatem, jak daleko oko sięga, same fabryki o monotonii koszarowej, z niebotycznym lasem kominów, z których wzbijają się słupy dymu. Nad tym krajobrazem zawisła ciężka chmura, zasłaniająca niebo, a z za niej wyglądają dwaj faworyci Heinego: mąż w todze sądowej i Schutzmann z wytrzeszczonemi oczyma.

Najczęściej jednak Heine korzysta z kwestyj bieżących, aby dorobić do nich swe komentarze. Przytoczymy tu kilka przykładów. Jak wiadomo, rząd nadesłał parlamentowi tabele ilustrujące stosunek liczebny marynarki angielskiej do niemieckiej. To też i u Heinego na jednej połowie szkicu znajdujemy stosunek ten schematycznie przedstawiony w postaci wielkiego i małego okrętu. Po prawej stronie zaś figuruje olbrzymia flaszka i mały okręt. U dołu radca handlowy z bokobrodami i potężnym brzuchem i głupi Michałek w rozdartych spodniach i szlafmycce. Prowadzą taką oto rozmowę na temat statystyczny: Widzisz, kochany Michałku — mówi tuz przemysłowy — tuśmy tobie przedstawili schezmatyczny stosunek flo-

tyli angielskiej do naszej. — A tu, kochany radco handlowy — odpowiada Michałek — możesz zobaczyć, iie zwolennicy marynarki wydają rocznie na szampana, a jak mało na flotylę.

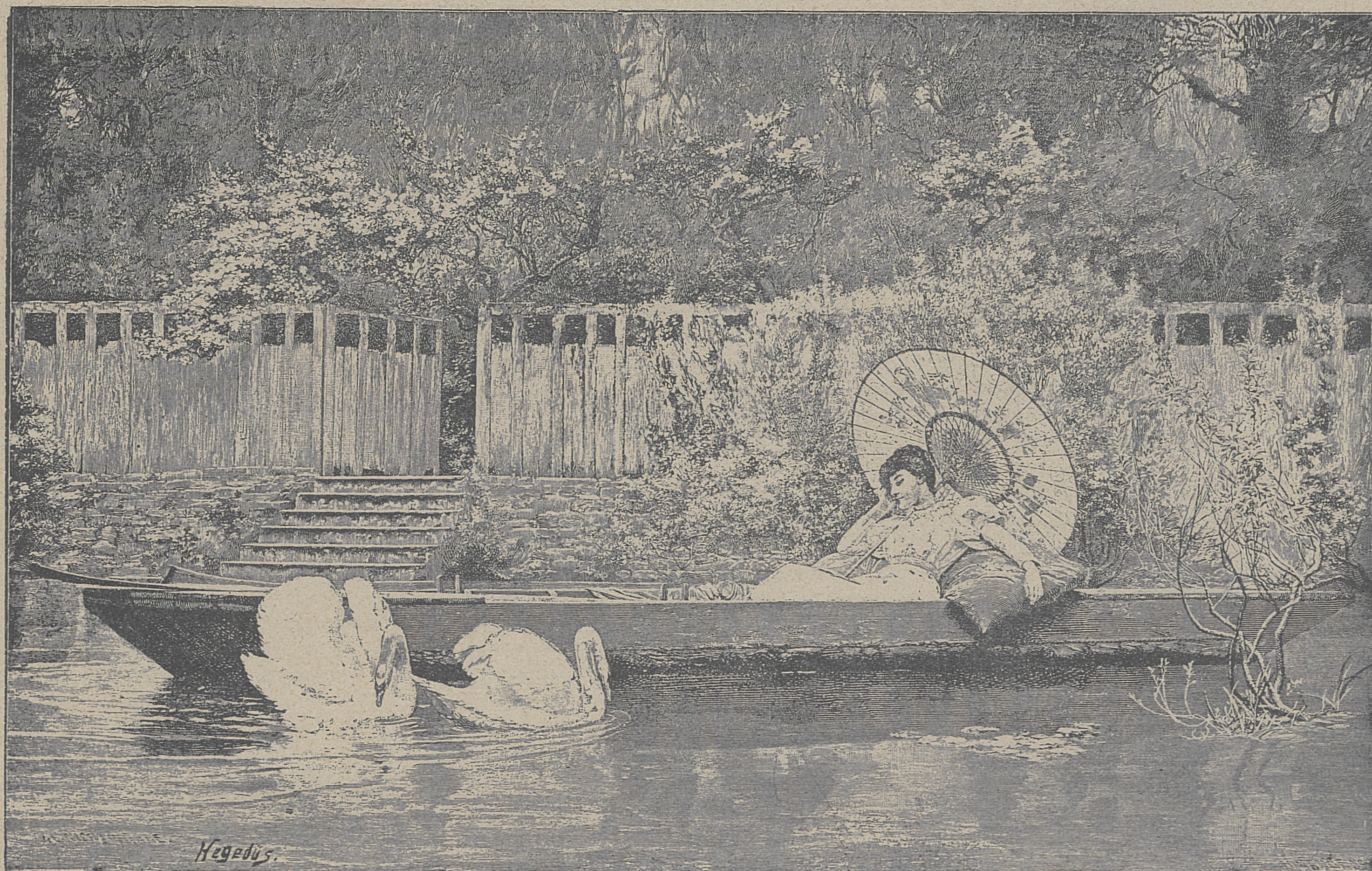
Syndykaty niemieckie podniosły w zimie cenę węgli. Heine uczcił ten czyn społeczny dwa razy. Po pierwsze oglądamy delegatów od zjednoczonych złodziei niemieckich, gdy składają wieniec u stóp swego przyszłego prezydenta — właściciela kopalń. Na drugim rysunku obracamy się w piekle. Dzieci, umierające setkami podczas ciężkiej i ostrej zimy, przybywszy do piekła, czują się wśród panującego tam ciepła tak rozkosznie, iż ściskają szyję „pana dyabła“ i błagają go, aby zabrał również matki ich, marznące na ziemi.

Gdy wyszły na jaw złotodajne stosunki bankiera Sternberga, miłośnika dziewcząt nieletnich, z policyą berlińską, Heine sparafrazował wypadek ten w formie ale-

są poganami, a pogan wpuścić do nieba nie można. Waldersee sposobi się wreszcie do powrotu. Wtedy Heine daje próbkę robionych przygotowań. Wódz z wawrzynami na głowie siedzi na swym koniu, a sługa jego, maczając miecz Walderseego w czerwonej farbie, pyta generalissimusa, czy wygląda już dosyć krwawo.

Heine w ogóle znakomicie charakteryzuje stosunki pruskie. Oto np. izba pruskiego nauczyciela wiejskiego. Bakałarz, żona i dziecko wyglądają jak szkielety. Zona trzyma w objęciach drugie, dopiero co zmarłe dziecko, a małżonek jej zawodzi gorżko na myśl, iż odtąd nie będą mogli spiewać na cztery głosy „Deutschland, Deutschland über alles“.

Karykaturzysta zajmuje się, rzadziej zresztą, również sprawami innych narodów. Podczas walki o Dreyfusa przerobił słynną „Wyspę zmatłych“ (Toteninsel) Böcklina na wyspę Czarcią. Gdy Niemcy



L. C. NIGHTINGALE.

W PARKU.

goryczej. Na arenie cyrkowej stoi Sternberg, którego kolana ściskają małe dziewczynki i trzyma obręcz w ręku. Przez obręcz skacze w biegu jazdy konnej Schutzmann, podczas gdy jego kolega zbiera do pikelhauby złoto, sypiące się z pod ogona konia.

Heine potrafi być i patryotą. Opowiedział nam też w całym cyklu rysunków wielką epopeę Walderseego. Gdy Niemcy wysyłają do Chin nieśmiertelnego feldmarszałka, Heine rysuje „Walderseego w ogniu“. Umieszczonego w środku wodza w pozie olimpijskiej, z buławą marszałkowską w ręku, otacza chmara fotografów z aparatami. Z Chin nadchodzą wiadomości o wielkich i zwycięskich bitwach. Wieści te przejmują dumą serce karykaturzysty i wtedy to powstaje miły rysunek. U wrót nieba bojownicy niemieccy, polegli w bitwach. U ich pasów zawieszone czaszki zamordowanych Chińczyków. Chińczycy

przed kilkoma tygodniami kokietowali Francuzów z okazyi wizyty zaproszonych generałów francuskich, Heine nie omieszkał uczcić ów fakt „epokowy“ w sposób należyty: Obiad galowy. Generał pruski z monoklem w oku zwraca się do gości francuskich z temi słowy: A gdyby znowu przyszło Francuzom i Niemcom stoczyć z sobą wojnę, to można ręczyć, iż rezultat jej byłby zadawalający dla obu narodów“.



Dr. ANTONI ZŁOTNICKI.

W obronie subjektywizmu.

Marya Czesława Przewóska: „Z nowych dni“. Syntetyczny zarys końca wieku.

Zwrot ku subjektywizmowi stanowi charakterystyczny objaw dzisiejszych czasów. Subjektywizm usiłuje zapanować nad objektywizmem tak w dziedzinie myśli, jak i w życiu praktycznem. Uczucie protestuje przeciw twierdzeniom rozumu, jednostka przeciw wznoszącym się falom nizin społecznych. Książka p. Przewóskiej taki podmiotowy wyłącznie posiada charakter. Oto w jaki sposób autorka obrazuje stan umysłowy naszych czasów:

Wiek nasz się przeżył, sił zużył wiele, szczęścia nie zapewił nikomu. „Okres haseł pozytywistycznych zrodził niezadowolenie, pesymizm rozkładowy, zabójczy, czczość życia, tęsknotę za ideałem, wielką wreszcie newrozę chwili“ (str. 17). Z „syzyfowym iście wysiłkiem wznoszone, imponujące zewnętrznością swoją liczne gmachy wiedzy nowożytnej, pośród chaosu nagromadzonego materyału sprzeczności zasadniczych, nie spojone dość trwałym cementem, w podstawach swoich chwiać się poczynają“ (str. 16). Wobec tego „myśl ludzka szuka niestrudzenie nowych horyzontów, za nowem światłem wiedzy się ogląda“. W zasadniczych kierunkach myśli współczesnej dostrzega autorka „wielki odwrót na całej linii“. „A odbywa się to nawet w sposób niezwykle stanowczy w oczach naszych, ogarniających cały ogrom kolizyi tego, co dnia wczorajszego jeszcze będąc świętością, dziś staje się nagle rumowiskiem gruzów, strąconego z piedestału swego bałwana wiedzy, ręką niezmierną żywo-

tność okazującej umysłowo-obyczajowej reakcyi obecnej". (str. 44).

Zdaniem p. Przewóskiej, dusza protestuje dzisiaj „przeciw unicestwieniu pierwiastka wiekuistości w rzeczach tego świata", „przeciwko dziełu cywilizacyjnemu na okoliczności zjawisk opartemu", protestuje „całą mocą swej nieskończoności boskiej". Myśl ludzka „rzuca się znów w objęcia metaficznych zaciekań nad istotą rzeczy". Neomistycyzm usiłuje zdobyć się na syntezę, kojarzącą myśl spekulatywną z pozytywnym dorobkiem przyrodniczej wiedzy". „Zarówno subjekt transcendentalny du Prel'a, siła psychiczna Crookes'a, jak metaorganizm Hellenbacha znajdują swe oparcie na najnowszych zdobyczach naukowych z dziedziny hipnozy i medyumizmy, tych nowych metod (!) nauki doświadczalnej, które po dziś dzień jeszcze nauka oficyalna stawia na indeksie quand-meme". „Obok empiryzmu dzisiejszej psychologii rozwija się pomyślnie tak zwana psychologia transcendentalna. Nauka zrywa z ciasnotą pozytywistycznych metod poznawczych" (str. 45–48). Magia, astrologia, alchemia „upominają się o naukową sankcyę dla racyi swego istnienia", „przez co wprawiają w niemały kłopot przedstawicieli wiedzy oficyalnej, niewiedzących ńajczęściej, co zrobić z tym fantem nieoczekiwanym" (str. 52). Myśl współczesna jednak daleką jest jeszcze zdaniem autorki „od pochwycenia drgnień Absolutu" (str. 70). „O wiele bliższym światła prawdziwej wiedzy musiał być świat starożytny" (str. 123).

„Przyszedł czas na uchylenie współczesnemu światu — mówi p. Przewóska— rąbka pierwszego wielkich tajemnic Izydy. Rąbek ten wszakże może być tylko odchylanym stopniowo, wielkie bowiem oblicze Prawdy na świat nieprzygotowany do jej ujrzenia, mogłoby podziałać oślepiająco. Odkrycie wskółczesnemu światu całej prawdy równałoby się daniu szalonemu miecza do ręki, lub dziecku broni zabójczej" (str. 61). Zresztą europejczycy nie zdolni są do zrozumienia tej prawdy. Wiedza tajemnicza posiadała wielką znajomość niewidzialnych sił natury, co dawało wtajemniczonym możność dowolnego posługiwania się niemi dla swych celów. Władali oni piorunami, wskrzeszali umarłych, mogli się przenosić na dalekie przestrzenie, wyzwoliwszy się poprzednio z powłoki cielesnej, i t. d. My, oczywiście, takich rzeczy nie potrafimy i możemy się tylko dziwić, dlaczego ta potężna cywilizacya starożytna wyczerpała się, skoro wypływała z niewyczerpanego źródła istotnej prawdy".

Lecz i wspołczesna cywilizacya znajduje się — zdaniem p. Przewóskiej — w okresie upadku. „Życie spółczesne tak wyjałowiało z wszelkich podnioślejszych porywów i pragnień, że żyć w niem dobrze jest tylko jego płazom". „Zło istotnie przybrało rozmiary tak wielkie, jak już większemi, zda się, być nie mogą bez poważnej groźby dla interesów cywilizacyjnych ludzkości" (str. 219). „Cywilizacya nasza ma w sobie zaiste tyle już cech starczych i tyle złego wessały w siebie jej soki, że to schorzałe cielsko, bez jakiegoś wielkiego dopływu siły odżywczej nie utrzyma się już długo przy życiu (str. 27). „Jesteśmy niewątpliwie w dobie wielkiego anarchizmu ducha". Nabiera on charakteru żywiołowej fali, która znieść usiłuje wszelki dorobek kulturalny. Jest to fakt przerażający, dla cywilizacyi groźny. Siewcą anarchizmu w ostatniem stuleciu był „plebejski duch mieszczański, który zapanował na gruzach jakie rozsypała po szerokim świecie wielka rewolucya". „Duch maszynowy wycisnął swe brutalne piętno na całości cywilizacyjnych zjawisk, stulecie nasze charakteryzujących", „świat cały w jeden mechanizm zamienić zapragnął". Duch ten — twierdzi autorka — stworzył „zasadę równości, kosmopolityzm, panowanie tłumu, oszustwa giełdowe, milionowe miasta, proletaryat, teoryę o poezyi przedmiotowoj, specyalizacyę w dziedzinie wiedzy, niechęć ku indywidualnościom wybitnym w życiu i twórczej podmiotowości w sztuce". „I wytworzył ów duch plebejski" całe młode pokolenie ludzkości, brutalnością szorstką i bezwzględnością dziką dyszące, t. zw. młodzież „trzeźwomyślącą", przeciwstawienie krańcowe ustępującej z areny życia idealno-marzycielskiej falangi rozbitków, mierzących „siły na zamiary". Typ to był „karyerowiczów"... sceptyków cynicznych, ludzi bez woli, bez dogmatu, bez wiary, wynaturzonych moralnie, wyrodzonych fizycznie, patologiczne okazy „trzeźwości"... „Dobry ton polegał na grubiaństwie czynu, na nieokiełznanej obelżywości słowa, w czem mianowicie celowała prasa, tworząc całe słownictwo brutalstwa w swych niczem niehamowanych zapasach konkurencyi" (stronica 177—128).

Przytoczyliśmy najwymowniejsze zdania autorki, mające charakteryzować kulturę współczesną. Szkoda, że p. Przewóska, zamiast rzucać obelgi przedstawicielom myśli pozytywistycznej, nie pofatygowała się poznać rozwoju cywilizacyi w XIX wieku i przyjrzeć się bliżej owej bestyi, zwanej pozytywizmem. Przekonałaby się zapewne wówczas, że pomiędzy wzajemnemi stronami dzisiejszego ustroju ekonomicznego a pozytywizmem naukowym niema nic wspólnego; że niekoniecznie trzeba być pozytywistą, aby być brutalnym cynikiem lub wynaturzonym moralnie, boć przecie i pośród idealistów są ludzie brutalni, cyniczni i niemoralni; że pozytywizm właściwy nie urodził się w XIX wieku, ani też żywota swego jeszcze nie zakończył.

(Dokończenie nastąpi).

U Elizy Orzeszkowej w Berlinie.

INTEVIEW.

Kilkakrotnie już zasłużona autorka nasza w przejeździe przez Berlin zatrzymywała się tu, lecz zawsze na krótko, i nigdy też pobyt jej przelotny nie został upamiętniony dla Polaków i przez Polaków tutejszych. Tym razem Orzeszkowa, jadąc z Kissingen na Rugję, do Sasnitz (ongi „Sośnic" słowiańskich), zabawiła w Berlinie przeszło dobę, zamieszkawszy w *chambres-garnie*, utrzymywanych przez polki, panie Skrzetuskie. Dały one znać zawczasu o przybyciu Orzeszkowej kilku osobom tutejszej kolonii polskiej — a tam postanowiono autorce „Nad Niemnem" złożyć skromny hołd w imieniu naszej osady.

Orzeszkowa przybyła w piątek wieczorem. U wejścia do zajezdnych pokojów, ozdobionego przez gospodynie splotami zieleni i kwiatów, i polskiem godłem: „Witamy!" — czekało na nią kilka panienek z polskich rodzin Berlina. Dwie z nich przemówiły do sędziwej autorki, która ze łzami w oczach przyjmowała od młodych Polek, wychowanych w Berlinie, a po części i tu zrodzonych, dań kwiatów i słów uwielbienia, prostych, ale gorących i ze szczerego płonących serca.

W mieszkaniu czekało na Orzeszkowę czterech przedstawicieli tutejszej inteligencyi, którzy wręczyli jej, w imieniu osady polskiej Berlina, adres, wyrażający wdzięczność za pracę dla społeczeństwa polskiego, uwielbienie i cześć, oraz życzenie „mnogich jeszcze lat życia przy czerstwem zdrowiu". Orzeszkowa zatrzymała wszystkich u siebie i rozprawiała z nimi przeszło godzinę.

Wielbicieli talentu Orzeszkowej, umiejących cenić jej zasługi, jest wśród berlińskich Polaków bardzo dużo: prócz licznej inteligencyi, nie tylko tej, która publicznie występować może, lecz i odłamu, reprezentowanego przez przesiedlonych do Berlina urzędników-polaków, mogących w domowem zaciszu jedynie pielęgnować język swój i zajmować się naszem piśmiennictwem, pokaźny jest też zastęp wykształceńszych rzemieślników i robotników nawet, którzy znają i cenią Orzeszkowę, — toż w niejednym z księgozbiorów naszych towarzystw znajduje się sporo dzieł autorki „Dziurdziów".

Uczucie dla Orzeszkowej, wyrażone adresem, żywimy wszyscy.

Wczoraj miałem zaszczyt spędzić w towarzystwie Orzeszkowej przeszło dwie godziny. Mówiliśmy tu i dość dużo o stosunkach polskich w Berlinie i w Prusach wogóle, o pracach około uobywatelenia ludu polskiego pod berłem pruskiem.

Na pytanie Orzeszkowej, jakież widoki naszej walki z wrogami polskości w Prusach, odrzekłem, że skoro będziemy mieli możność popracowania nadal jeszcze spokojnie przez półtora do dwóch dziesiątków lat, nie potrzeba już będzie później obawiać się zakusów zniemczenia naszego ludu. Potrąciliśmy też o stosunki społeczne w Warszawie. Wyniosłem przekonanie z rozmowy, że Orzeszkowa pochwala zupełnie spokojną a dodatnią dla społeczeństwa pracę organiczną Polaków w Prusach; podziela widocznie zdanie tych z pośród nas — a dzięki Bogu jest w Prusach jeszcze większość takich — którzy trzeźwą, umiejętną, organiczną pracą około uświadamiania ludu, wyłączając wszelkie nieopatrzne porywy, z fałszywego zrozumienia godności narodowej wynikające, starają się utrwalić podwaliny życia narodowego i zabezpieczyć je przeciw tłoczącym falom niemczyzny.

Walkę przeciwko rodakom o odmiennych poglądach społeczno-politycznych, zapomocą paszkwilów i oszczerstw, jaka u nas niestety coraz dobitniej w ostatnim czasie się ujawnia, potępia Orzeszkowa stanowczo. Niemniej stanowczo przecież zaznaczyła, że wszelkie zaczepki osobiste nie powinny nikogo zniechęcać do pracy i odstręczać od rodaków. Wspomnieliśmy o pewnym członku arystokratycznej rodziny polskiej w Prusach z wieku przeszłego, który odwrócił się od rodaków, rozgoryczony napaściami przeciwników. „Bądź co bądź — rzekła Orzeszkowa — na kraj pogniewać się niewolno!"

Janko.

POMNIKI KRAKOWA.

Ukazał się szesnasty zeszyt wspaniałego wydawnictwa Maksymiljana i Stanisława Cerchów „Pomniki Krakowa“, z tekstem Dr. Feliksa Kopery, dyrektora Muzeum Narodowego w Krakowie.

Przepyszne to wydawnictwo prawdziwą chlubę przynoszące naszej literaturze artystycznej, zawrze jak wiadomo wizerunki wszystkich dzisiaj istniejących, a częściowo już zrujnowanych pomników, nagrobków, płyt pamiątkowych, dzieł sztuki, widoków starych kościołów i zamków Krakowa i okolic, stanowiąc nieoceniony materyał dla historyka sztuki, dla dziejopisarza, zarówno jak dla każdego miłującego piękno.

Owoc sześćdziesięciu lat pracy Maksymiliana Cerchy, dzięki sprężystości, energii i umiejętności syna jego artysty-malarza i archeologa Stanisława Cerchy, członka komisyi do historyi sztuki przy Akademii Umiejętności w Krakowie, ukazuje się w zeszytach miesięcznych, tworząc wspaniałe, istotnie pomnikowe dzieło. W teksćie świetnie przez Dr. Kopera prowadzonym mamy w zeszycie szesnastym dalszy ciąg studyów nad rzeźbą gotycką XVI wieku, tablice zaś zawierają następujące ważniejsze pomniki: Zofii Secus z 1610 go roku: Fragmenty z grobowca Kazimierza Jagiellończyka, dłuta Wita Stwosza z jego podpisem; tegoż mistrza część nagrobku z pomnika Kazimierza Jagiellończyka przedstawiającą „Stworzenie świata“, wspaniały renesansowy grokowiec Władysława Weseliniego z kościoła O. O Franciszkanów w Kzakowie pomnik biskupa krakowskiego Samuela Maciejowskiego z katedry krakowskiej, oraz wiele innych, z których niektóre już nie istnieją.

Wszystkim miłośnikom sztuki, bibliotekarzom polecamy gorąco dzieło Cerchów, będące ozdobą każdej książnicy i prawdziwym pomnikiem naszej sztuki rodzinnej, tak wybitnie ujawionej w przepięknych nagrobkach i pomnikach.

Kąpiele w wagonach.

Tendencyą nowożytnego świata jest: „uruchamiać się“. Jest to dziwny zwrot w cyklu: rozpoczęliśmy to życie od kibitki i wózka, praktykujemy je obecnie koleją parową i elektryczną a zakończymy na balonie. W miarę ulepszenia lokomocyi coraz się żywiej ruszamy a jak niegdyś drogi kawaranowe, trakty były arteryami życia, tak są niemi obecnie koleje. Mało tego, ktoś nazwał koleje pionierami cywilizacyi nie tylko w sensie materyalnym, ale kulturnym i cywilizacyjnym. Dowodów dostarcza dzień każdy — a w tej liczbie, leżąca przed nami broszura dr. Tchórznickiego: „Kąpiele w wagonach“. Broszura składa się z tekstu i rysunku. Tekst wychodzi z założenia, iż czystość ciała jest pierwszym warunkiem zdrowia a zdrowie potrzebne jest ludziom pracy z natury zasmalającej, jak: praca na kolejach w dymie, kurzu, na upale lub niepogodzie. Należy więc ludziom pracującym na kolejach ułatwić oczyszczanie się, czyli zaprowadzić kąpiele we wszelkiej używanej formie. Trzeba na obszernych, ludnych stacyach wznosić łazienki, łaźnie, baseny z wodą etc. Ale co robić na stacyach drobnych, gdzie kosztowna instalacya nie opłaci się? Na pytanie to odpowiedzieli lekarze: zakładać wagony kąpielowe. Autor broszury, dr. Tchórznicki propagując tę myśl, dołączył do swego dziełka arkusik różowy a na nim pytania: czy pożądanem jest wprowadzenie wagonów kąpielowych dla służby kolejowej, czy inowacya ta mogłaby znaleść zastosowanie dla pasażerów w podróży i jakiego typu? Istotnie, przy dużych do przebycia przestrzeniach i podróży kilkudniowej wśród pyłu i zmęczenia, kąpiel byłaby oczyszczeniem i pokrzepieniem pożądanem. Ta idea zasługuje na rozważenie, kwestyonaryusz dr. Tchórznickiego — na odpowiedź.

Myśli i aforyzmy.

...Skromność tak zdobi cnotę, jak piękny pokost doskonałe obrazy...

Kajetan Węgierski.

...Potrzeba słońca do poznania piękności róży, potrzeba szczęścia do odkrycia zasługi...

Kajetan Koźmian.

...Miłość należy do kosmetyków, albowiem nieszczęśliwa wybiela, szczęśliwa różuje...

Henryk Sienkiewicz.

Teatr historyczny w Szwecyi

Na wyspie Gotland, w malowniczej dolinie Wisby, Szwedzi zbudowali własne „Oberammergau“. Wśród uroczej natury, której zielona dekoracya ozdabia obszerną „widownię“ skorzystano ze zwalisk starożytnego zamku rycerskiego i tu zbudowano scenę, na której mają być dawane wyłącznie utwory pasyjne, oraz dzieła z dziejów kultury szwedzkiej, sięgające bajecznych ustrojów, opiewanych przez sagi.

W d. 28 lipca dano pierwsze przedstawienie na tak świetnie pomyślanej scenie. Cykl, ułożony z szeroko zakreślonym planem, rozpoczął dramat Zacharyasza Topeliusa „Sancta Maria“. Oczywiście są zarówno w treści, jak i nastroju, a nawet i fakturze utworu usiłowania pewnej spójni z przedstawieniami pasyjnemi w Oberammergau. Rzecz nie jest prowadzoną według historyi świętej, nie biblię pod względem treści, ale duch religijno-chrześcijański miał autor na widoku, budując sceny pełne podniosłych dążności.

Bo święte dzieje są przystosowane do ukochanej przez skandynawów swojskości. Treścią „Świętej dziewicy jest żywot Vlerasa przywódcy finów, pozostających w pogaństwie. Finnowie napadli na szwedzkich rycerzy krzyżowych, których oczywiście zwyciężyć nie mogli, W czasie długotrwałych walk. w których męstwu napastników odpowiada odwaga rycerzy krzyża, Vieras zapałał miłością do Sigruny, córki wodza szwedzkiego Ramunda Goethe.

Dziewica wywiera wpływ na wpółdzikiego rycerza; chcąc go jednak tem łacniej pozyskać dla świętej wiary, wysyła do obozu finnów misyonarza, którego cuda wprawiają w podziw tłumy żołdactwa. Vieras wraz z wiernymi towarzyszami broni przyjmuje chrześcijaństwo.

W przedstawieniu przyjmują udział wyłącznie mieszkańcy Wisby. Oczywiście najznakomitsze talenta malarskie Szwecyi dopomagają w malowaniu kostyumów i dekoracyj, poeci piszą specyalne utwory, a artyści społeczni podejmują się kolejno ról reżyserów.

Przedstawienia i cała instytucya teatru „ludowego“ budzą zapał w Skandynawii. gdzie mają powstać liczne sceny według udatnego pierwowzoru organizowane. Jest to, zdaniem prasy szwedzkiej, najlepsze rozwiązanie problematu sceny ludowej, w znaczeniu szerszem po za miejskiem

Z literatur obcych.

Up from Slavery by Book Washington („Z niewoli“).

Są to pamiętniki słynnego społecznika amerykańskiego, filantropa, pisarza i działacza politycznego, murzyna, który urodził się w niewoli i dzięki olbrzymiej pracy, żelaznej wytrwałości i wielostronnym zdolnościom zdobył najwyższy wpływ i uznanie. Jest to pono jeden z najlepszych współczesnych mowców amerykańskich. Świetny pisarz i doskonały organizator, poświęcił się wyłącznie pracy nad podniesieniem poziomu umysłowego i moralnego swych czarnych współbraci, zdemoralizowanych i pohańbionych przez wieczną niewolę. W pamiętnikach swych podaje ciekawe szczegóły z życia dawnych niewolników, z walki o zniesienie niewolnictwa. Przedstawia namiętne dążenie wyzwolonych czarnych do oświaty i moralnego oswobodzenia się od wad wszczepionych długotrwałem poddaństwem. W pierwszych chwilach szkoły były literalnie przepełnione dużymi i małymi murzynami łaknącymi oświaty. Autor już jako niewolnik zaczął się kształcić; aby uzyskać pozwolenie uczenia się, wstawał o 4-ej rano i pracował do 9-tej wieczorem. Gdy dojrzał i zdobył niezależność materyalną, całe swe szlachetne i gorące serce oddał pracy dla innych. (*Review of Reviews*).

* * *

Etudes anglaise par André Chevrilion (Hachette) 3 f. 50 c. („Szkice angielskie“).

W pracy tej ciekawe ustępy poświęcone są Schelleyowi, Burns-Jonsonowi oraz Kiplingowi. W szkicu zatytułowanym „Opinia publiczna i wojna transwaalska“, autor podnosi ujemny wpływ Kiplinga. W szkicu „Życie amerykańskie“ przedstawia zmiany, zachodzące w charakterze Anglo-Sasów w odmiennem, nowem dla nich środowisku, Ameryki Północnej. (*Journal des Débats*).

* * *

The North americans of Yesterday by Grederick S. Dellenbangh. New-York and London (Potnams sons) (Północni amerykanie z przed wczoraj“).

Dzieło pełne jest ciekawych wskazówek o wpływie zwyciężonych luaów na zwycięzców. Autor jest stronnikiem poglądu, że Indyanie Ameryki Północnej nie należą do ras południowych, lecz jako oborygens stanowią reszki niegdyś potężnych, ucywilizowanych narodów. Miłośnicy folkloru znajdą w tem dziele plon obfity (*Daily News*).

* * *

Japans Acession to the comity of Nations by baron Alexander von Sübold (Kegan Paul) („Przyłączenie się Japonii do związku Narodów“).

Autor, doskonały znawca Japonii, tłómaczy szybkie postępy tego państwa na polu cywilizacyi europejskiej, wybornem przygotowaniem, jakie jej dała kultura starożytna, pilnie uprawiana w ciągu wielu wieków, „Kraj — mówi on — gdzie każdy, nawet najuboższy mieszkaniec umie czytać i pisać, gdzie uprawiano z niesłychaną czcią i zamiłowaniem w ciągu trzystu lat nieprzerywanego wojnami pokoju literaturę, sztukę i nauki, gdzie rząd starał się stosunki społeczne doprowadzić do możebnego stopnia doskonałości — kraj taki, rozumie się, przedstawił wyborne pole dla usiłowań młodego pokolenia Japończyków, ożywionych duchem europejskiego postępu.. “ (*Daily News*).

* * *

Handels Geschichte das Altertums von prof. E. Speck (Verlag von Fr. Braudstetter). Leipzig. („Historya handlu w starożytności“).

W pierwszym tomie, który właśnie ukazał się, przeprowadzone są badania nad handlem Indyj, Chin, Babilonu, Asyryi, Persyi, Egiptu, Fenicyi, Arabii, Damaszku oraz starożytnych żydów. (*Frankfurt. Zeitung*).

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.